

Ciemna strona mocarstwa

22 maja 2009

Bezradność Nancy Pelosi, która wiedziała o stosowaniu podtapiania podczas przesłuchań od dobrych kilku lat, odsłoniła brzydką twarz Partii Demokratycznej – oficjalnie walczącej przeciwko torturom. A może pokazała tylko pragmatykę amerykańskiej polityki?

Prawicowe media porównały spikerkę Izby Reprezentantów do prezydenta Richarda Nixona, który także długo twierdził, że „nic nie wiedział” o aferze Watergate. Drwią także z dwulicowości Partii Demokratycznej, która zrzesza przeciwników stosowania „brutalnych metod przesłuchań” i nazywa je po prostu torturami.

Sami Demokraci są zmieszani i zawstydzeni: upadł ich etos jako obrońców praw człowieka. O ile głosowanie za inwazją na Irak, można uznać za wypadek przy pracy, o milcząca zgoda na stosowanie podtapiania, jest wyborem świadomym. Przynajmniej – w taki sposób dokonała go Nancy Pelosi.

Pelosi – próbując pozbyć się winy i oskarżając CIA o „wprowadzenie jej w błąd”, paradoksalnie, być może uratowała własną partię. Słupki jej popularności spadły z 51 proc. (w styczniu) do 39 proc., ale sama partia nie ucierpiała w podobny sposób. Demokraci bardziej utożsamiani są przez wyborców z prezydentem, który zdecydował o zamknięciu Guantanamo, niż z milczącą kongresmenką.

Jednak w ostatnich dniach i prezydent zaplątał się niewygodny temat tortur. Zmienił zdanie i zakazał publikacji zdjęć dokumentujących nadużycia amerykańskich strażników wobec więźniów podejrzewanych o terroryzm. Chociaż fotografie nie miały być tak wstrząsające jak te z Abu Ghraib, miały być wystarczająco drastyczne, by unaocznic opinii publicznej błędy i wypaczenia administracji George’a W. Busha. Obrońcy praw

człowieka tryumfowali, Republikanie – Dickiem Cheneyem na czele – alarmowali, że publikacja zdjęć zagrozi bezpieczeństwu Ameryki.

Wspólnym mianownikiem obu sytuacji kłopotliwych dla lewicy, jest zawłaszczenie pojęcia przez prawicę. I chociaż Barack Obama, dzięki kampanii opartej na micie American Dream, w pewnym stopniu ów patriotyzm „odzyskał”, nad Partią Demokratyczną ciągle wisi cień zarzutu nieamerykańskości.

Dla Demokratów, do których przyłączają się rozczarowani prezydenturą Busha konserwatyści, wewnętrzny pluralizm stał się warunkiem istnienia i przetrwania. Dlatego nie mogą sobie dłużej pozwolić na zajmowanie stanowisk skrajnych – muszą przejąć część bagażu ideologicznego nowych partyjnych imigrantów. W ten sposób można tłumaczyć zmianę decyzji Obamy w sprawie fotografii.

Dicka Cheney – choć ten często przesadza – nie można na dłuższą metę ignorować. Nie można też całkowicie negować tego, co ma do powiedzenia. Pośród morza złośliwości pod adresem nowej administracji, dryfują szczątki ideałów, skorodowanego i roztrzaskanego przez osiem lat wiceprezydentury. Cheney nie jest absolutnym szaleńcem – nie chce zniszczenia Ameryki, ani powtórki z 11 września. Twierdząc, że publikacja zdjęć może tylko posłużyć Al-Kaidzie do rekrutowania nowych członków, nie jest całkowicie bez racji.

W pewnym momencie należy wybrać między celem zasadnym z punktu widzenia własnej ideologii czy wartości, a szerszym wymiarem pragmatycznym.

Wybór ten to oczywiście ogromny dylemat etyczny, który nie sposób rozstrzygnąć w dwóch zdaniach. Dlatego dyskusja, czy należy karać amerykańskich funkcjonariuszy, którzy stosowali brutalne metody przesłuchiwanie, bądź wydali rozkazy o ich zastosowaniu, nie może być prowadzona na zasadach winy i kary.

Kto jest bowiem winny? Strażnik, który miał zły dzień, jego

przełożony, przełożony przełożonego, czy może i w końcu sam prezydent? Wszyscy czy nikt? Wina to konsekwencja świadomego wyboru. W tym sensie winni są wszyscy – ci, którzy tortury stosowali, którzy kazali je stosować, ale także ci, którzy milczeli – jak Nancy Pelosi. Wina jako konsekwencja braku alternatywy nie jest już tak oczywista.

Czy Nancy Pelosi rzeczywiście nie mogła nic zrobić? Teoretycznie: mogła. Mogła zawiadomić prasę, kolegów partyjnych, międzynarodowe organizacje stojące na straży praw człowieka. Poświęciłaby tym samym jednak obraz Ameryki jako „tego dobrego mocarstwa”, swoistego Imperium Dobra. Dodatkowo, doprowadziłoby to do wewnętrznego rozłamu w kraju. Rozłamu, który mógłby skończyć się niepomyślnie dla Demokratów. Pod koniec 2002 roku pamięć o 11 września była zbyt silna, by opinia publiczna miała większe względy w stosunku do podejrzanych o terroryzm.

Brak alternatywy można więc rozumieć nie tylko jako brak innej opcji działania – taka zazwyczaj istnieje. Ujmując alternatywę jako opcję przynoszącą realną zmianę – można w pewnym stopniu próbować zrozumieć to, jak postąpiła Nancy Pelosi.

Wina to w końcu także konsekwencja pewnej świadomości – dysharmonii działań z wewnętrznym kodeksem moralnym.

Psychopata nie ma poczucia winy. Nie ma poczucia winy też ten, kogo nie nauczono pewnych zasad moralnych. Znany psycholog, Philip Zimbardo, w swojej książce „Efekt Lucyfera” opisuje działania strażników z Abu Ghraib jako wynik określonej sytuacji, a nie zła płynącego z ich charakteru. Strażnicy – jako produkt określonego systemu, pod presją dowództwa, dokonywali rzeczy, których nigdy by się nie dopuścili. Zimbardo – autor słynnego eksperymentu więziennego – wydaje się jednak ignorować różnicę między psychikami poszczególnych ludzi, przez co jedni są bardziej odporni na czynniki sytuacyjne, niż inni. Z pewnością jednak praca Zimbardo pokazuje, że nie można zbyt łatwo ferować wyroków.

Mimo wszystko, nie powinno się zmierzać w stronę relatywizmu: poznanie prawdy o przeszłości jest ważne i Amerykanie powinni mieć do tego prawo. Gdy przeszłość jest jednak narzędziem gry politycznej, robi się niebezpiecznie: stąd kontrowersyjna, choć skądinąd słuszna, decyzja prezydenta Obamy o nie karaniu agentów CIA stosujących brutalne metody przesłuchiwań – przynajmniej w ramach odpowiedzialności karnej.

Jednak brak takich rozliczeń, nie oznacza brak rozliczeń w ogóle. Amerykanie, chcący odbudować wizerunek swojego kraju na arenie międzynarodowej, nie mogą sobie pozwolić na kolejne skandale typu Guantanamo czy Abu Ghraib. Zamiatanie ich pod dywan tylko odwlecze moment wybuchu takiego skandalu. Należy tę bombę rozbroić – powoli, ale sukcesywnie, nie w oparach sensacji. Tak chciała postąpić Nancy Pelosi.

Gdy wybuch nastąpił zanim ukończyła swoją snajperską robotę, odpaliła ona racę, która miała ów wybuch oświetlić, a jej podejrzaną obecność w pobliżu miejsca zdarzenia, usprawiedliwić jako szybkie podjęcie akcji. Pelosi po prostu milczała zbyt krótko.

Powinna milczeć zresztą dalej: skuteczna polityka nie lubi skandali i przepychanek w świetle reflektorów. Poświęcając prawdę dla efektywności, Nancy Pelosi powinna tym bardziej poświęcić mniejsze wartości, z osobistymi urazami na czele.

Autor: Magdalena Górnicka

Źródło: [Portal Spraw Zagranicznych](#)